

Ubogi jak Niemiec. Chowamy dumę w kieszeń. I wyciągamy ręce po darmowe jedzenie

DUŻY FORMAT 27.03.2023, 05:00

Joanna Strzałko



Kolejka do banku żywności w Monachium. (Fot. DIETHER ENDLICHER / AP Photo)

Dałoby się w Niemczech wyżyć, jeśli po opłaceniu wszystkich rachunków ludziom zostawałoby na rękę co najmniej tysiąc euro.

W piątkowe zimne i mgliste popołudnie na ulicy Paryskiej, jednej z głównych w Kaiserslautern, w kraju związkowym Nadrenia-Palatynat, tworzy się korek. Pomiędzy sportowym porsche i białą teslą przeciska się kobieta w za dużej kurtce i siatkowych butach na starej podeszwie. Za sobą ciągnie torbę na kółkach – musi nią ostrożnie manewrować, by nie musnąć lśniącego lakieru aut.

Dokładnie o godz. 15 na pobliskiej Wełnianej 1 w odrapanym domu na wysokim parterze otwierają się na oścież okna. Ustawiona gęsiego setka osób cichnie. „Ciekawe, co dziś dadzą. Skończył mi się olej”, słychać szept. Kolejka przesuwa się w szybkim tempie – każdy po kolei podchodzi do okna i wyciąga w górę ręce – w jednej ściska zadrukowaną niebieską karteczkę – znak, że pomoc mu się należy, drugą chwytą podawane przez wolontariuszy organizacji pomocowej Die Tafel papierowe torby z jedzeniem.

– Przychodzę tu od dobrych kilku lat, odkąd przeszłam na emeryturę – opowiada kobieta i przepakowuje do torby na kółkach: paczkę pieczarek, siatkę brukselki, dwa bakłażany i cukinie, trzy papryki, sałatę, kilo jabłek, banany, pomarańcze, jogurt, chleb i bułki. – Te 600 euro, jakie dostaję co miesiąc, nie wystarczają mi na życie. Nie, nie jestem zostawiona sama sobie – rząd bardzo mi pomaga, opłaca czynsz za mieszkanie i rachunki za ogrzewanie. A jednak trudno wyżyć za niecałe 70 euro na tydzień, czyli 10 euro na dzień. Tym bardziej teraz, gdy olej kosztuje 4-5 euro, mleko co najmniej 1 euro, a kilogram chleba ponad 3. Nie mówię już o maśle, na które, odkąd zdrożało 100 procent, mnie nie stać. Chciałabym też czasem coś kupić wnukom, ale nawet nie mam za co. I smutno mi z tego powodu. I wstyd.

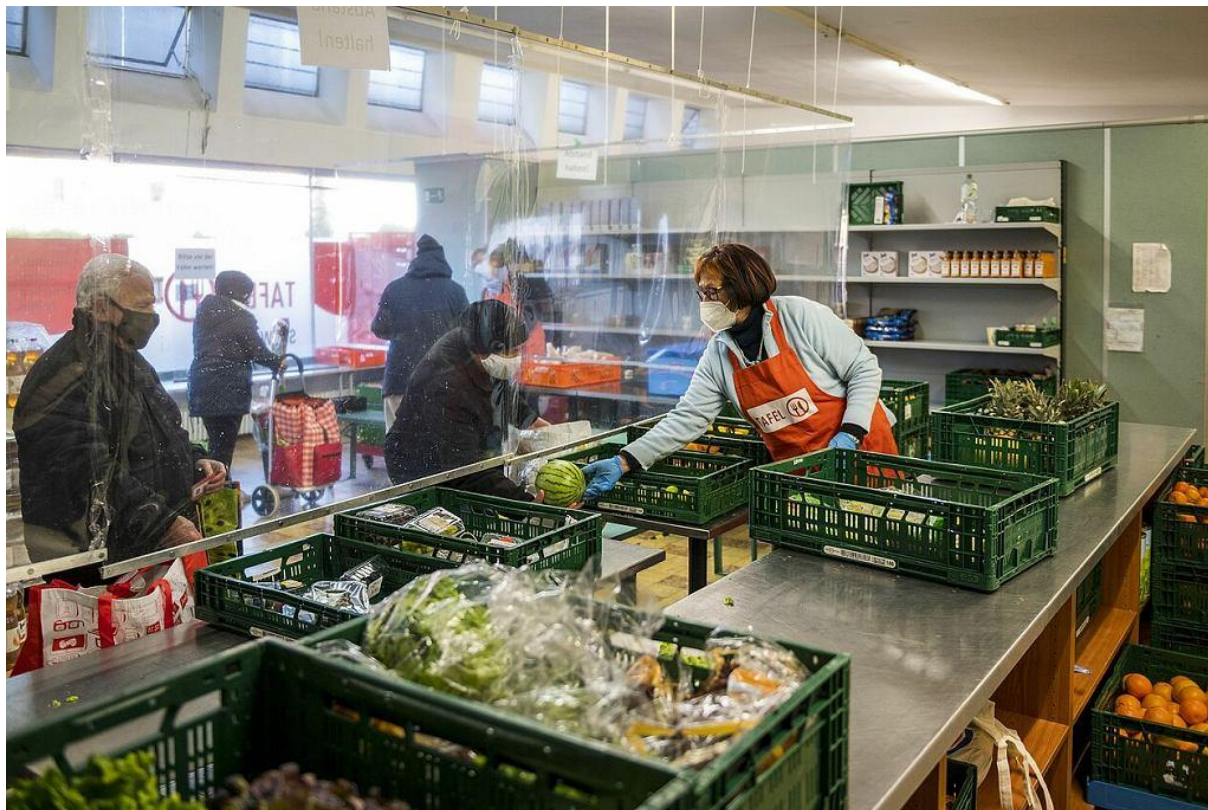
– A dzieci pani nie pomagają? – dopytuję.

Kobieta kręci głową. – Cóрка ma własne problemy – ucina.

Stojący obok blady mężczyzna zaciąga się papierosem i potakuje. Chce coś dodać, ale napada go dudniący kaszel i nie daje rady. Za to do rozmowy włącza się kobieta w fioletowym skafandrze i z ciemnymi workami pod oczyma:

– W zasiłku, który kiedyś nazywał się Hartz IV, a teraz – odkąd mamy nowy rząd – Pieniądze Obywatelskie (Bürgergeld) i wynosi miesięcznie 502 euro, wyliczone jest dokładnie, że 174 euro i 14 centów przeznaczonych jest na jedzenie – mówi. – Chciałabym, by ci urzędnicy, którzy sami zarabiają po kilka tysięcy euro na miesiąc, spróbowali się za to wyżywić! Na szczęście mam partnera i zrzucaamy się na wszystko po połowie – po 250 euro na

mieszkanie i po 100 euro na rachunki. Gdybym była sama, nie dałabym rady. Do Die Tafel przychodzę co 14 dni, częściej się nie da. I tak jest nas tu podobno za dużo, a jedzenia za mało. W każdym razie nowych ludzi już nie przyjmują.



Ubodzy Niemcy korzystają z pomocy organizacji Die Tafel. Fot. Die Tafel

CZASY PYSZNYCH TORTÓW MINEŁY

– Proszę pani, jak ktoś ma w Niemczech 600 euro emerytury, to za to tu nie wyżyje! – Kręci głową Krzysztof, który z Polski wyjechał na początku lat 90. – I nie można tego przeliczać na złotówki i mówić, że tu się ludziom w głowach przewróciło. Tysiąc euro tutaj to nie to samo co 4,5 tysiąca złotych w kraju. Moim zdaniem, by godnie przeżyć miesiąc w Niemczech, trzeba mieć co najmniej 1500 euro na rękę. Choć i wtedy jest na styk.

Krzysztof wylicza: – Wynajem najtańszego pokoju z kuchnią – 500 euro w górę. Do tego dochodzą rachunki za wodę, prąd i gaz na kilkaset euro. A przecież człowiek musi czasem i leki kupić, i buty, i kurtkę na zimę, i telefon doładować.

– A ile potrzeba na jedzenie? – dopytuje.

– Ja to bym i za 200 euro przeżył, przecież Polak potrafi. – Uśmiecha się Krzysztof. – Poza tym żołądek mam jak skarpetę: rozciąga się, gdy dużo jem, a kurczy, gdy mało. Wszystko jest kwestią przyzwyczajenia. Ale Niemiec moim zdaniem nie dałby rady za taką kwotę przetrwać miesiąca. Ma inną mentalność – nie potrafi narzucić sobie wewnętrznego embarga na rzeczy, do których był wcześniej przyzwyczajony. Gdy niedawno pracowałem jako opiekun u niemieckich emerytów, na zakupy żywieniowe na naszą trójkę (małżeństwo 70-latków i ja) wydawaliśmy ok. 700 euro miesięcznie. I to bez szaleństw. Dwa razy w tygodniu pożywna zupa, w pozostałe dni kawałeczek mięsa z ziemniakami. Na śniadanie kawa i wędliny. Ale w Niemczech osoby, którym trudno związać koniec z końcem, mogą się zwrócić do urzędu socjalnego po pomoc i dostać dodatki mieszkaniowe.

Krzysztof wie, co mówi, bo sam, gdy tu wylądował i zanim znalazł pracę na budowie, spędził rok na zasiłku. Urząd socjalny zapewnił mu w tym czasie bezpłatne mieszkanie i pieniądze na życie.

– Ale kasa z socjalu nie pokrywała wszystkich potrzeb – wspomina Krzysztof. – Musiałem przecież umeblować pokoje, bo poza materacem nie było w nich nic. I któregoś dnia poznani Polacy pokazali mi, gdzie można w mieście za darmo zjeść. Tak odkryłem Die Tafel.

Organizacja dobroczynna Die Tafel, co można przetłumaczyć jako Biesiadny Stół, dla Krzysztofa w tamtych czasach była zbawieniem. Przez pierwszy rok pobytu w Niemczech chodził tam codziennie i nikt nie sprawdzał mu żadnych dokumentów ani o nic nie pytał.

Pierwszy Die Tafel powstał w Niemczech w 1993 roku. Dziś jest ich w kraju ponad 960 i działają na zasadzie banku żywności – wolontariusze organizacji odbierają od sklepów produkty z kończącą się datą przydatności, które wciąż nadają się do spożycia. Zamiast lądować w koszu, są rozdzielane wśród najuboższych – emerytów, osób z niskimi zarobkami czy na zasiłku i uchodźców.

Na stołówce prowadzonej przez Die Tafel, gdzie gotowano posiłki z otrzymanych darów, Krzysztof dostawał zupę i drugie danie do wyboru. A najbardziej zachwycali go desery: – Do kawy serwowano przepyszne torty, babki, pierniki, makowce, na które w kawiarni nie byłoby mnie stać.

– Wtedy, w początkowych latach działalności, w Die Tafel były nawet cygara! – rozmarza się Krzysztof. – I papierosy! A przed wejściem do budynku czekały skrzynki pełne bananów, kiwi, arbuzów, jabłek, papryki, ziemniaków, kalafiorów, marchewek, sałat i brokułów. Wolontariusze namawiali: „Idźcie tam i weźcie, co tylko wam się przyda!”. Taki to był full wypas. I jak w mieście pojawiał się nowy rodak, mówiłem: „Chodź, chłopie, ja cię zaprowadzę w takie miejsce, gdzie zjesz za darmo, ile chcesz!”.

Jak tłumaczy Krzysztof, jadłodajnie z darmowym jedzeniem miały być w zamyśle dla ubogich Niemców, ale przecież nikt nie odważyłby się odmówić pomocy ludziom z innych krajów. Z Tafel korzystali więc chętnie nie tylko Polacy, ale też emigranci z rozpadającej się Jugosławii, Rosjanie, Rumuni, Afgańczycy czy Pakistańczycy.

– Dziś zaostrzono zasady, bo jedzenia jest za mało i nie wystarcza dla wszystkich chętnych – wzdycha Krzysztof. – Zniknęły stołówki, a produkty są wydzielane. Chcą też przesiać ludzi, którym pomoc się nie należy. Jeśli Niemcom ją ucinają, to co dopiero takiemu Polakowi?

Na szczęście Krzysztof nie musi już korzystać z pomocy Die Tafel. Odkąd ukończył kurs opiekuna i zajmuje się chorymi, często starszymi Niemcami, ma zapewniony dach nad głową, wyżywienie i pensję. Gdy kończy się jedno zlecenie, wraca do Polski i czeka na kolejne. I to właśnie w Polsce chce mieszkać, gdy przejdzie na emeryturę.

– Kocham mój kraj i tam czuję się najlepiej – opowiada. – Poza tym czasy dobrobytu państwa niemieckiego bezpowrotnie minęły. Teraz i oni muszą zaciskać pasa.

GDZIE JEST GRANICA UBÓSTWA

– W końcu wszystko się w tym kraju zawali – wzdycha Stefan Opitz, który od 18 lat kieruje Die Tafel w Kaiserslautern. – Mój tata był krawcem, mama zajmowała się domem i wychowywaniem trójki dzieci. A jednak dwa razy w roku jeździliśmy na wakacje. Rodziców było na to stać. Ojciec miał godną pensję i emeryturę. Te czasy odchodzą w przeszłość. Dlaczego? Bo rząd źle wydaje pieniądze podatników. Chociażby te miliony na zieloną energię w Egipcie! I chyba jednak zbyt szeroko otwarte granice.

Przyglądam się Stefanowi Opitzowi. Jego długi, beżowy płaszcz, biały szal, spodnie w pepitkę i skórzane, ręcznie robione buty nie pasują do otoczenia – ścian z dykty, sterty plastikowych skrzynek z jedzeniem, tanich konserw na półkach, ciasnego biura, gdzie ledwo mieszczą się dwa krzesła i stół.

– Pan chyba należy do tych zamożniejszych niemieckich emerytów? – pytam.

– Owszem, nie wiedzie mi się źle – mówi ostrożnie.

– To dlaczego, zamiast tu siedzieć, nie plażuje pan na Majorce? – dopytuję.

– Jadę tam w maju. – Uśmiecha się Stefan Opitz. – Tak, dbam o siebie, lubię ciuchy, a butów, i to takich po 200 euro za parę, mam więcej. Stać mnie, całe życie pracowałem w branży gastronomicznej, dentystycznej, mam nawet papiery specjalisty od medycyny alternatywnej i iluzjonisty! Ale teraz skupiam się na Die Tafel. Ktoś przecież musi. A ja nie lubię bezczynności.

I wyjaśnia, że w Niemczech tak jak i na całym świecie różnice w dobrobycie biorą się często z rodzinnego domu. Niektórzy zmagają się z biedą od pokoleń – dziadkowie byli na zasiłku, rodzice, to i dzieci nie umieją inaczej funkcjonować.

– Ale spora grupa osób, które do nas trafiają, przeżywa traumę, po której nie potrafi się podnieść – zdradę, trudny rozwód, utratę kogoś bliskiego... – wzdycha Stefan Opitz. – Ich widok sprawia ból. Tak jak emerytów, którzy przez lata harowali w kiepsko opłacanych zawodach i teraz dostają niecały tysiąc euro emerytury!

By dostać się na listę osób uprawnionych do korzystania z pomocy Die Tafel, każdy chętny musi okazać urzędowy dokument z informacją o zasiłku, emeryturze czy niskich zarobkach – do 1200 euro. Jeśli ktoś ma wyższe uposażenie, jedzenia tu nie dostanie.

Ale ta górna granica zależy od miasta, bo np. w takim bogatym Hamburgu łatwiej o pomoc tym, którym powinna się noga. Niemców poruszyła niedawno historia Olivera – kierowcy karetki pogotowia z północnych Niemiec, który choć bardzo się wstydzi, korzysta z pomocy Die Tafel. Oliver za 45 godzin pracy w tygodniu dostaje 1600 euro na rękę. 600 euro schodzi na zaległe i bieżące alimenty (nie płacił w latach, gdy był na bezrobociu). Pod koniec 2022 roku dostał wezwanie do dopłaty za wodę – 206 euro, i za prąd – 981 euro, bo dom po rodzicach, w którym mieszka, ma niestety elektryczne ogrzewanie. Nie jest w stanie pokryć tych kwot z pensji i stara się je rozłożyć na raty. Z kolei miesięczne rachunki za prąd wzrosły mu do 166 euro. A do tego dochodzą jeszcze czynsz i bieżące potrzeby. „Gdyby nie Tafel, nie miałbym co jeść”, wyznał ze łzami w oczach Oliver reporterom telewizji Arte.



Organizacja Die Tafel przygotowuje paczki z żywnością dla ubogich Niemców. Fot. Die Tafel

– Dałoby się w Niemczech wyżyć, jeśli po opłaceniu wszystkich rachunków ludziom zostawałoby na rękę co najmniej tysiąc euro – mówi Opitz. – Niestety, nasi podopieczni mają na cały miesiąc dużo mniej, zazwyczaj poniżej tysiąca, z którego większa część idzie na wynajem, prąd, ogrzewanie. I nie wystarcza im już na jedzenie czy niespodziewane wydatki, choćby naprawę pralki czy telewizora, gdy się zepsują. Dobrze, że chociaż dentysta jest w ramach ubezpieczenia!

Opitz prowadzi mnie na zaplecze i pokazuje 2 tysiące konserw – z zupami, warzywami, owocami, które nadeszły od prywatnego darczyńcy. Na sąsiednich regałach stoją dary od Amazona, który co sześć tygodni przysyła minibusa z jedzeniem. Zazwyczaj są to produkty ze zwrotów albo takie, których klienci nie odebrali.

Przechodzimy do sal, gdzie kilku wolontariuszy pakuje do toreb jedzenie.

– Dziś nasi podopieczni dostaną poza owocami, warzywami i chlebem dodatkową torbę z olejem, czterema konserwami, makaronem, dżemem i maskami FFP2 – mówi Stefan Opitz i

zamyśla się. – To przerażające, że w Niemczech już ponad 2 miliony ludzi musi korzystać z pomocy Die Tafel. Jesteśmy na granicy wytrzymałości organizacji i nie przyjmujemy nowych podopiecznych. Może jak wyjadą Ukraińcy, to zrobi się łatwiej, bo w tej chwili stanowią 40 procent naszych klientów. Kiedyś to byli głównie Niemcy i Rosjanie z niemieckim pochodzeniem. Ale Rosjanie się teraz pochowali, jakby chcieli ustąpić miejsca Ukraińcom albo zniknąć z pola widzenia. W każdym razie ledwie wystarcza mi jedzenia dla 500 podopiecznych, którzy podzieleni na pięć grup przychodzą po produkty co 14 dni. Robimy mniejsze porcje niż kiedyś, ale nie mogę dawać ludziom po dwie rzodkiewki. Jest nam trudno również z tego powodu, że supermarkety nauczyły się oszczędzać – zamawiają mniej towaru, organizują wieczorne wyprzedaże, podczas których jedzenie można kupić za grosze – sałatę czy cukinię za jedyne 20 centów. I gdy kierowcy Die Tafel objeżdżają codziennie sklepy, okazuje się, że dla nas nic już nie zostało.

RATUJĄ MNIE JADŁODZIELNIE

Gdyby nie te wieczorne wyprzedaże w supermarketach czy akcje, podczas których sklepy oferują za 5 euro torby wypchane wybrakowanymi produktami lub tymi, którym kończy się termin przydatności, kiepsko byłoby z Tomem. Ostatnią pensję odebrał w listopadzie. Od trzech miesięcy nie pracuje. Firma, w której był zatrudniony, się zamknęła.

– Próbowałem wystąpić o zasiłek dla bezrobotnych, czyli Pieniądze Obywatelskie, jak to się teraz dumnie nazywa, ale jak na razie bezskutecznie – opowiada Tom. – W urzędzie pracy tyle osób jest na chorobowym, że nie ma szans na umówienie indywidualnego spotkania. Zamiast tego podanie o zasiłek wysyła się do nich listem. Minęła cała wieczność, zanim w końcu otrzymałem odpowiedź. Załamane się, gdy przeczytałem te kilka skąpych zdań – poinformowano mnie, że zwróciłem się do złego urzędu. Miejskiego, a nie gminnego, któremu podlegam. No i teraz muszę całą procedurę zaczynać od nowa.

Z Tomem spotykam się w Mannheimie (kraj związkowy Badenia-Wirtembergia), w kolejce do jednego z trzech działających w

mieście banków żywności. Tym, który przycupnął niedaleko nabrzeża rzeki Neckar, zaraz naprzeciwko świecącej pustkami polskiej kawiarni Warszawa.

Działa on inaczej niż w Kaiserslautern. Jak tłumaczy Ronny Just z Czerwonego Krzyża, każdy uprawniony do otrzymania pomocy może przyjść tu na zakupy przez pięć dni w tygodniu, wybrać z półek potrzebne produkty i zapłacić za nie w kasie. Ceny towarów są tu 70 procent niższe niż w tradycyjnym sklepie. Największą popularnością cieszą się olej, ryż, mąka i cukier.

– *Celowo tak to zorganizowaliśmy – tłumaczy Just. – Chodzi o to, by ludzie szanowali jedzenie. Zauważyliśmy bowiem, że gdy wcześniej nasi podopieczni dostawali gotowe torby z jedzeniem, to za rogiem pozbywali się tego, co nie było im potrzebne.*

W Mannheimie z pomocy banku żywności korzysta 3,5 tysiąca klientów, co – jak wylicza Just – oznacza, biorąc pod uwagę ich dzieci i rodziny, że jedzenie trafia do ok. 9 tysięcy osób. Co dziesiąty to emeryt, a raczej emerytka, bo aż trzy czwarte potrzebujących pomocy stanowią kobiety, które podczas aktywności zawodowej dostawały niskie pensje lub przez całe życie zajmowały się domem i wychowywaniem dzieci. Ich emerytura kształtuje się na poziomie 300-600 euro. W sumie liczba seniorów i seniorek ubiegających się o socjalną pomoc państwa wzrosła w zeszłym roku o 12 procent, do 628 600 osób.

– Myślę jednak, że ta liczba jest o wiele większa – mówi Ronny Just. – Część z tych osób pozostaje w szarej strefie i nie ubiega się o pomoc państwa – dla jednych przejście przez te wszystkie papiery i procedury jest zbyt skomplikowane, inni po prostu się wstydzą. My w każdym razie przyjmujemy nowych klientów i mamy na razie wystarczająco dużo jedzenia.

Tymczasem okazuje się, że Tom nie może zrobić tanich zakupów w banku żywności, dopóki nie załatwi formalności z urzędem pracy i nie przedstawi dokumentu, że jest na bezrobociu. Gdy w końcu mu się to uda, będzie mógł do czarnej skrzynki, które zastępują tu wózki zakupowe, włożyć kilogram kielbasy (1 euro), mleko (30 centów), twarożek (20 centów), puszkę słodkiego napoju (20 centów), kilogram czerwonej i białej kapusty (30 centów), brokuł (30 centów), kalafior (30 centów), kilogram ziemniaków (20 centów), kilogram jabłek oraz winogron (50 centów) i zapłacić za wszystko tylko 3 euro i 30 centów.

– Kiedyś, gdy miałem jeszcze robotę, nie zwracałam tak dużej uwagi na ceny – wzdycha Tom. – Teraz idę do kasy w najtańszym Aldi czy Lidl z kilkoma podstawowymi produktami – chlebem, serem, masłem, jogurtem – i jestem zdumiony, że rachunek wynosi 15-20 euro. A przecież to, co kupuję, wystarczy mi w najlepszym wypadku na dwa dni! Mój tygodniowy budżet nie przekracza teraz 50 euro. Jeśli zaszaleję, wyskoczę z przyjaciółmi na miasto i wydam w knajpie 15 euro, to następnego dnia gotuję zupę za 5 euro, tak bym miał z niej dwa obiady.

– To co teraz zrobisz? – pytam Toma.

– Będę nadal korzystał z promocji w supermarketach i z pomocy Foodsharingu oraz Too Good To Go – mówi Tom. – Mam na telefonie ich aplikacje i dostaję powiadomienia za każdym razem, gdy ktoś w okolicy odbierze zbędne jedzenie z restauracji, sklepów czy piekarni, a które w przeciwnym razie trafiłoby do kosza na śmieci. Choćby takie opakowanie z pomidorami, gdzie jeden spleśniał, a pozostałe są dobre, albo makaron czy ziemniaki z knajpy. Należę też do grupy na WhatsAppie i tam pojawiają się zdjęcia i wiadomości typu: „Przywiozłem to i to, wpadajcie, dziś trzeba to zjeść”. Dopóki nie znajdę pracy i nie zacznę zarabiać, takie solidarnościowe akcje mnie ratują.

CZEGO SIĘ WSTYDZIŁAM?

– Nie jestem bezrobotna, od kilku lat pracuję w salonie fryzjerskim, dlatego długo walczyłam ze sobą, gdy usłyszałam o darmowym jedzeniu z Foodsharingu – opowiada Anja (imię

zmienione). – Miałam opory. No z jednej strony ta żywność, która jeszcze kilka lat temu wylądowałaby przez kończący się termin ważności w koszu na śmieci. A z drugiej – ja, fryzjerka z nie najgorszego zakładu w Wormacji (kraj związkowy Nadrenia-Palatynat), a tu niechciane, darmowe resztki. Ale któregoś dnia schowałam dumę w kieszeń. Bo jak dostaję 1500 euro pensji, a za sam wynajem mieszkania płacimy z partnerem 800 euro, to naprawdę szaleństwa nie ma. A najbardziej niesamowite okazało się to, że wszyscy wokół nas z Foodsharingu korzystają. I sąsiedzi, i znajomi. Tylko nikt się z tym wcześniej nie obnosił. Teraz jesteśmy superzgraną społecznością. W Niemczech jest nas już prawie 200 tysięcy! Jak to wygląda? Wystarczy się zarejestrować na stronie internetowej. A potem sprawdzam albo dostaję powiadomienie, który sklep i co ma do oddania, i jeśli coś mi odpowiada – jadę. I dzielę się tym, co przywiozłam, z innymi. W wielu miastach, miasteczkach i wsiach stanęły lodówki, regały, gdzie można zostawić jedzenie dla innych. Ważne tylko, by ich poinformować, bo zazwyczaj produkty te trzeba szybko zamrozić lub zjeść. Wcześniej nie kupowałam zdrowej żywności, bo za droga, a teraz co i rusz trafia mi się za friko pierś z kurczaka bio, ekologiczne mleko, sery, warzywa. Naprawdę nie rozumiem, czego się wcześniej wstydziłam!

MUSIMY BYĆ SOLIDARNI

Niels-Holger i Sibylle Albrecht z Gruenstadt (kraj związkowy Nadrenia-Palatynat) może się nie wstydzili, ale długo zbierali na odwagę.

– Nie jest łatwo stanąć przed wszystkimi i powiedzieć: „Hej, potrzebuję pomocy!” – mówią Albrechtowie. – Uznaliśmy jednak, że nie mamy nic do stracenia.

Ich sklep ze zdrową żywnością znany jest w okolicy. Wspierają ekologicznych rolników, mają świetne produkty i załogę, a do tego współpracują z aktywistami z Foodsharingu i Foodsavera, którzy

wpadają co sobotę i pomagają im ratować towary przed wyrzuceniem. A jednak, gdy Putin napadł na Ukrainę, nagle ich klienci zniknęli.

– Niemcy wystraszyli się wojny, widma kryzysu i uznali, że muszą oszczędzać, przede wszystkim na jedzeniu, bo ono stoi dużo niżej w hierarchii wartości niż urlop czy samochody – opowiada Niels-Holger. – I z dnia na dzień zmienili zwyczaje zakupowe. Zamiast do nas ruszyli do dyskontów. Choć przecież i my sprzedajemy produkty z krótką datą przydatności o 50 procent taniej, a kilkudniowy chleb oddajemy za darmo w zamian za dobrowolne wsparcie lokalnego przedszkola. Co ciekawe, wzrost cen w tradycyjnych sklepach był dużo, dużo większy niż u nas. Branża bio jest inaczej zorganizowana, nie jesteśmy zależni od światowej produkcji, od cen nawozów, które poszybowwały.

– Wytrzymałismy jeden miesiąc, drugi, ale przecież my też musimy coś jeść, płacić rachunki, pensje – wspomina Sibylle. – Zaczęliśmy się zastanawiać, co robić. Nie chcieliśmy zwalniać ludzi i zamykać biznesu. Znalazłam drugą pracę, by zarobić na bieżące wydatki. To był trudny, mroczny czas.

Po pół roku przyparci do ściany Albrechtowie zaklejają witrynę sklepu szarym papierem, a przed wejściem stawiają tablicę z napisem „Otwarte”, by zaintrygować snujących się po deptaku ludzi. I przez pięć dni codziennie wieszają plakaty, na których opisują, co się stanie, jeśli będą musieli się zwinąć. Że uruchomi się łańcuch fatalnych wydarzeń: ktoś straci pracę, ktoś nie sprzeda plonów, ktoś zbankrutuje. „Wróćcie do nas, inaczej wszystko się posypie” – poprosili.

I ludzie do Albrechtów wrócili. A któregoś dnia w drzwiach stanęła starsza kobieta z chodzikiem. Kupiła dwie butelki octu jabłkowego, na tyle ją było stać. „Tak naprawdę to go nie potrzebuję – powiedziała. – Ale chciałam okazać wam solidarność. Musimy razem przetrwać ten trudny czas”.



Ubodzy Niemcy korzystają z pomocy organizacji Die Tafel. Fot. Die Tafel

UBODZY NIEMCY

Z pomocy Die Tafel korzystają 2 mln osób. W latach 2019-21 było to 1,65 mln. W Niemczech jest 960 punktów tej organizacji, co trzecia z nich nie przyjmuje już nowych klientów. Głównym powodem jest niewystarczająca ilość jedzenia i przeciążenie 60 tys. wolontariuszy.

Od 1 października 2022 roku minimalne wynagrodzenie w Niemczech wynosi 12 euro brutto za godzinę, 2080 euro brutto miesięcznie.

14,1 mln Niemców, czyli prawie co szósta osoba, żyje na granicy ubóstwa, czyli z dochodem poniżej 1250 euro.